

Esej wspomnieniowy: Od kandydata na murarza do marynarza – wątek „marynarski”

[Framenty]

[...]

Jednak **najbardziej „pamiętną” jest historia mojej „rozgrywki” z kolejnym podporucznikiem – tym razem absolwentem pobliskiej Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej.** Pojawił się na pokładzie OH „Bałtyk” późnym latem 1966 roku i został przedstawiony załodze jako **nowy dowódca połączonych działów: I, IV i V**, w którym służyła cała okrętowa elita: sternicy, radiotelegrafisci, radarzyści i sygnaliści. Oficjalnie dowiedzieliśmy się że **nasz nowy przełożony nazywa się Krzysztof Urbanowicz.** Wielu z nas na tyle orientowało się w „wierchuszcze” LWP, że nazwisko to od razu skojarzyło się nam z **generałem dywizji Józefem Urbanowiczem** – wówczas **szeffem Głównego Zarządu Politycznego WP w randze wiceministra obrony narodowej.** Szybko „zaprzyjaźniony” ze mną zastępca dowódcy okrętu ds. politycznych potwierdził, że **ów młodzian** (wtedy 24-latek – było ode mnie starszy jedynie o 2 lata) **to jedyny syn TEGO wiceministra.** Muszę tu jeszcze dodać, że tatuś, w ramach kolejnych szczebli kariery w Ludowym Wojsku Polskim **był w latach 1945 – 1952 zastępcą dowódcy Marynarki Wojennej do spraw politycznych** – Szeffem Zarządu Polityczno-Wychowawczego Marynarki Wojennej. [...]

Pominę tu opowieści o licznych szczegółach, opisujących postać „bohatera” tego wspomnienia (kawał otyłego gościa, o nalanej twarzy, lubiącego dobrze i dużo zjeść, także wypić – w każdym tego słowa znaczeniu, mającego duże trudności z pełnieniem obowiązków oficera wachtowego podczas rejsu – np. z określeniem pozycji okrętu...) i **przejdę od razu do wydarzeń, które na zawsze wryły się w moją pamięć, a ich skutki na długo dawały o sobie znać...**

Otóż ppor. Krzysztof Urbanowicz – co chyba nie mogło być dla nikogo zaskoczeniem – objął dodatkową funkcję kierownika szkolenia politycznego marynarzy służby zasadniczej. Szkolił nas, raz w tygodniu, usadzonych w świetlicy okrętowej, przez rok – do wakacji 1967 roku.

Po okresie letnich rejsów, chyba w październiku 1967 roku, Zarząd Polityczny Marynarki Wojennej dokonał, niezapowiedzianej, kontroli efektów szkolenia marynarzy na naszym okręcie. Według dzisiejszej nomenklatury przeprowadzono „ewaluację zewnętrzną”, której narzędziem był anonimowo wypełniany test wiadomości – z programu „przerabianego” w poprzednim roku.

Do dziś jest dla mnie zagadką podjęcie decyzji o tej kontroli akurat w tym czasie, akurat na naszym okręcie, akurat tego rodzaju szkolenia. Czyżby nie wiedzieli, gdzie służy syn wiceministra – Szefa GZP LWP? A może wiedzieli? I nie był to przypadek?

Po kilku dniach nasz dowódca – komandor Kościukiewicz – zarządził zbiórkę załogi i wyraźnie wk.. zdenerwowany ogłosił, że dostał wyniki testu, że **ogólny wynik jest niedostateczny! To skandal! To wstyd dla jednostki!**

I zarządził, że do czasu, jak w „poprawkowym” sprawdzianie nie zaliczymy choć na czwórkę – wszystkie wyjścia na ląd są wstrzymane! A to mogło potrwać wiele tygodni...

Blady strach padł na wszystkich, a zwłaszcza na tych, którzy mieli już dłuższy staż na okręcie – wielu z nich miało „stałe znajomości” w Gdyni lub dalej – pod trójmiejskimi adresami – marynarski mundur zawsze ułatwiał nawiązywanie „kontaktów towarzyskich”...

I wtedy moi koledzy zwrócili się do mnie z apelem, jako do szefa koła KMW: **„Włodek, musisz coś wymyślić i zaradzić, bo przecież wiesz, że to nie nasza wina. To, że tak niewiele wiedzieliśmy pisząc ten test, to wina Urbanowicza. Sam wiesz jak przez ten rok wyglądało to szkolenie!”**

Wiedziałem, bo wszak ja także w nim uczestniczyłem. W skrócie: Najczęściej wyglądało to tak, że Urbanowicz przychodził na świetlicę, gdy podoficer dyżurny powiadomił go, że już tam siedzimy, sprawdzał listę obecności, a następnie... brał podręcznik (tak, tak – był do tego szkolenia podręcznik) i otworzywszy go na określonej stronie wyznaczał jednego z nas i kazał mu czytać „odtąd dotąd”, a sam wychodził – najczęściej by grać w karty z akurat będącymi bez zajęcia podoficerami.

Rozwazałem ten problem przez parę dni i wymyśliłem. Muszę najpierw powiedzieć, że już po kilku miesiącach mojej służby na OH „Bałtyk” miejscowy I sekretarz POP PZPR wielokrotnie przeprowadzał ze mną rozmowy w stylu **”Słuchajcie no, Kuzitowicz. Jesteście takim działaczem młodzieżowym, w cywilu w ZHP, tutaj zostaliście wybrani przewodniczącym Koła KMW – jak to wygląda, że nie należycie do Partii.?** I gdy przez ponad rok zawsze udawało mi się jakoś z tego wymigać – w końcu dał mi spokój.

I teraz, nagle, melduję się u porucznika Norwisza (był zastępcą dowódcy ds. „bojowych”, ale i I sekretarzem POP) **i oświadczam: „Towarzyszu poruczniku, zdecydowałem się wstąpić do Partii. Proszę o kwestionariusz kandydata.”** Efekt był piorunujący: z (jego) uśmiechem na ustach otrzymałem ów druczek, a następnie porucznik oświadczył, że „wprowadzającymi” (bo każdy kandydat musiał mieć dwu wprowadzających członków PZPR) będzie on i drugi zastępca – ten ds. politycznych. I że na najbliższym zebraniu zostaną przyjęty do POP jako „kandydat na członka”.

Przed zebraniem zdobyłem statut PZPR, wyczytałem tam, że z chwilą uchwały o przyjęciu – kandydat ma pełne prawa bierne – nie może tylko kandydować do władz. Ta wiedza mi wystarczyła, aby...

Na zebraniu, które prowadził I sekretarz – por. Norwisz – obecni byli chyba wszyscy członkowie okrętowej POP, w tym dowódca okrętu i... ppor. Urbanowicz. Już na początku zebrania – jednogłośnie – zostałem przyjęty do POP, jako kandydat na członka Partii. Potem były omawiane inne tematy, aż prowadzący zebranie wypowiedział rutynowo: **„A teraz wolne wnioski i sprawy wniesione”**. Jako że nie spodziewał się owych wniosków – już zamierzał ogłosić zakończenie zebrania, gdy... gdy **ja podniosłem rękę i powiedziałem: „Ja mam sprawę wniesioną”**.

Wstałem i krótko zreferowałem problem, wyjaśniając prawdziwe powody kiepskich wyników kontroli efektów szkolenia politycznego, nie pomijając konkretnych informacji o sposobie, w jakim ppor. Urbanowicz to szkolenie prowadził. W miarę mojej przemowy narastała atmosfera grozy, a zwłaszcza, gdy zakończyłem konkluzją: **„W tej sytuacji uważam, że niesprawiedliwe jest karanie załogi zakazem wychodzenia na ląd i wnoszę o wyciągnięcie odpowiednich konsekwencji w stosunku do towarzysza Urbanowicza”**...

Zapadła grobowa cisza... Po dłuższej chwili por. Norwisz ocknął się i powiedział: „*Dziękuję wam, towarzyszu Kuzitowicz za tę informację, egzekutywa POP zajmie się sprawą i na następnym zebraniu przekaze informację o sposobie jej załatwienia. Zamykam zebranie.*”

Nie muszę mówić, że wpędziłem ich w nie lada kabałę. Z jednej strony – syn wiceministra, z drugiej – starszy marynarz, o którym wiedzieli, że ma „swoje dojścia”: do redaktora „Bandery” i w Komendanturze Portu Wojennego. A poza tym przebieg zebrania był protokołowany, a protokolantem, jak pamiętam, był któryś z podoficerów zawodowych, którzy „po cichu” pogardzali młodym synkiem wiceministra...

Co było dalej? – Będę się streszczał. Chyba już na drugi dzień po zebraniu został przez okrętowy radiowęzeł (głośniki były w każdym pomieszczeniu i stanowisku) **ogłoszony komunikat, że dowódca zezwała na wychodzenie marynarzy na ląd według dotychczasowych zasad.** Nie muszę mówić, że koledzy chcieli mnie nosić na rękach...

Na kolejnym zebraniu partyjnym, na którym – oczywiście – byłem, nic w trakcie jego przebiegu na temat ppor. Urbanowicza nie było. Gdy na koniec padło sakramentalne „Wolne wnioski?” – oczywiście moja ręka znów poszła w górę. Wstałem i zapytałem o obiecaną informację, jaką decyzję w sprawie towarzysza Urbanowicza podjęła egzekutywa POP. Po chwili zakłopotanego milczenia prowadzącego zebranie padło z jego ust: „*Przepraszam, przeoczyłem ten punkt porządku zebrania. Informuję, że Egzekutywa ukarała tow. Urbanowicza naganą i wniosowała do dowódcy okrętu o zmianę osoby prowadzącego szkolenie polityczne.*” [...]

Dlaczego zdecydowałem się opisać tę historię? Z dwu powodów:

Po pierwsze – bo jest to ilustracja tezy, że ja chyba już tak mam, iż zawsze stoję po stronie słabszych... I wtedy okazało się, że po 6-u latach, po raz kolejny, stanąłem do nierównej walki w obronie kolegów, których dosięgnęła niesprawiedliwość WŁADZY. W szkole „postawiłem się” jej dyrektorowi i wygrałem – trochę dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Tu, na okręcie, „zawalczyłem” z o wiele potężniejszym przeciwnikiem, ale wygrałem – tym razem własnym sprytem. W tej nierównej walce w stylu „Dawida z Goliatem” zwyciężyłem dzięki „procy”, którą zrobiłem sobie z odpowiednio wykorzystanego statutu PZPR....

Po drugie – bo właśnie ta „cena” owego zwycięstwa – wymuszone sytuacją, „niechciane” zapisanie się do PZPR, ciągnęło się za mną, już „w cywilu”, przez wiele, wiele lat... [...]

Źródło: <http://obserwatoriumedukacji.pl/esej-wspomnieniowy-od-kandydata-na-murarza-do-marynarza-watek-marynarski/#more-46993>